№ 9. Piątek, dnia 27 Listopada 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 15 (27) listopada 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

LIST OTWARTY
DO CZYTELNIKÓW
Ogniska Domowego.

Łaskawi Czytelnicy!

We wrześniu r. b., wydaliśmy prospekt na mający się podówczas odrodzić tygodnik *„Ognisko Domowe."*

W miesiąc później to odrodzenie się było już faktem spełnionym.

Silni przekonaniem, że w walce światła, prawdy i postępu z wrogiemi im żywiołami: ciemnotą, fałszem i wstecznością — dobre nad złem koniecznie odnieść musi zwycięztwo; ożywieni chęcią dzielenia się z czytelnikiem tem wszystkiem co zdrowe, szlachetne i piękne; kierowani jasno wypowiedzianą dążnością; zbrojni poparciem i czynną pomocą ludzi znanych zaszczytnie z nauki i doświadczenia na niwie literackiej, przy współudziale w pracy młodych a zdolnych pracowników pióra — spoglądaliśmy w przyszłość z wiarą i nadzieją, a stanąwszy przed Wami, oczekiwaliśmy bez trwogi Waszego wyroku. Byliśmy pewni, że nieuniknione przy wszelkich początkach braki i niedostatki, które już dziś sami najlepiej znamy, i do których przyznajemy się z całą otwartością, zechcecie nam łaskawie wybaczyć, choćby tylko ze względu na cel, do jakiego dążyć postanowiliśmy krokiem spokojnym, lecz zarazem pewnym i wytrwałym.

I nie zawiedliśmy się w oczekiwaniach.

Kiedy bowiem w dniu 2-gim października r. b., puściliśmy w świat pierwszy numer świeżo odrodzonego tygodnika— ten pierwszy objaw naszego życia przychylnie i sympatycznie powitany został zarówno przez czytającą publiczność, jak i przez poważniejsze organy prasy peryodycznej.

Zbyt krótka przestrzeń czasu dzieli nas od tej chwili, iżbyśmy dziś już mogli się pochlubić dojrzałemi owocami pracy we wszystkich wymienionych w prospekcie kierunkach naszej działalności. Mamy poza sobą dopiero dziewięć numerów, w których, bardzo naturalnie, nie mogliśmy jeszcze nietylko rozwinąć ale nawet wypowiedzieć całkowicie naszego programu. Szczupłość łamów pisma była główną ku temu przeszkodą i dlatego w przyszłości postaramy się ją usunąć. Tymczasem jednak, bez obawy spoglądamy w przeszłość. Nie wypełniliśmy dotąd jeszcze wszystkich moralnych, zaciągniętych względem Was, Czytelnicy, zobowiązań. Nie rozwinęliśmy— a nawet nie poruszyliśmy wcale, niektórych z przyrzeczonych Wam działów; mamy wszakże nadzieję, iż niezadługo wywiążemy się z tego obowiązku. Patrząc wszelako poza siebie, śmiało powiedzieć możemy, iż ani na krok nie zboczyliśmy z wytkniętej drogi, że nie odstąpiliśmy sztandaru naszych przekonań ani na jednę chwilę, lecz pod jego osłoną dążyliśmy ciągle naprzód— do światła! Tych przekonań i nadal jak najtroskliwiej strzedz będziemy, jesteśmy bowiem zdania, że kierując się niemi zdołamy z rzeczywistym pożytkiem pracować dla dobra ogółu— a taka właśnie praca jest i pozostanie nazawsze głównem naszem hasłem.

Wiemy dobrze, iż zdrowe ziarno wiedzy niekoniecznie potrzebuje się ukrywać pod szatą poważną i moralizatorską. Dlatego też niczego szczędzić nie będziemy, coby się mogło przyczynić do podniesienia wartości pisma, ożywienia go, urozmaicenia jego treści i uczynienia go zarówno pożytecznem jak poczytnem.

W tym celu potrzebujemy jak najprędzej rozwinąć wszystkie działy, składające program *Ogniska Domowego.* Przeszkodą ku temu, jak to już wyżej nadmieniliśmy, była dotychczas szczupłość łamów naszego tygodnika. Tę przeszkodę, tamującą swobodny i równomierny rozwój wszystkich części składowych *Ogniska Domowego,* postanowiliśmy usunąć w nadchodzącym kwartale, dając *w miarę potrzeby i możności bezpłatne półarkuszowe dodatki.* Oprócz widocznej korzyści, jaka tym sposobem wyniknie dla pisma, skłania nas do tego kroku chęć wywdzięczenia się Wam, Czytelnicy, za doznane od Was w czasie krótkiego naszego istnienia moralne i materyalne poparcie. Tymczasem nie oznaczamy stałych terminów, w jakich dołączać będziemy wyżej wzmiankowane dodatki. Los ich spoczywa w Waszych rękach. Jeżeli uznacie pożyteczność tej zmiany i zechcecie poprzeć usiłowania nasze, w mowie będący *dodatek* jak najchętniej zamienimy *na stały* i powiększymy tym sposobem rozmiar *Ogniska Domowego* o 50% nie podwyższając dotychczasowej ceny prenumeracyjnej. Wówczas to, *Ognisko Domowe,* które dziś jest jednem z *najprzystępniejszych* pod względem ceny pism krajowych, stać się może jednem ze *stosunkowo najtańszych.*

Na tem chcieliśmy już zakończyć... ale jeszcze słowo.

Mówiąc wyżej o zamierzonych w wydawnictwie naszem ulepszeniach, nie poczyniliśmy żadnych przyrzeczeń— nie wymieniliśmy ani jednego utworu, jakie drukować zamierzamy. Zrobiliśmy to rozmyślnie, bo wiemy z doświadczenia, że podobne zapowiedzi najczęściej albo spełniają się bardzo późno, albo nie spełniają wcale, a czytającą publiczność narażają na oczekiwanie i bezpotrzebny zawód. Teka nasza redakcyjna, dziś już obficie jest zaopatrzoną— a znajdujące się w niej braki wkrótce postaramy się uzupełnić. Was zaś, Czytelnicy, prosimy tylko o zaufanie i radę. Wsparci pierwszem śmielej stąpać będziemy po wytkniętej drodze— oświeceni drugą, łatwiej zdołamy zadosyć uczynić potrzebom Waszym i dążyć ciągle i wytrwale — ku lepszemu.

Redakcya.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

Sierpień—Wrzesień 1874 r.

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg)

Jak odurzony wybiegłem z pracowni genialnego malarza—a gdym nazajutrz zdawał sprawę z tych odwiedzin Kremerowi, odrzekł mi na to:

— Ojciec jego był nauczycielem muzyki starszej córki mojej w jej latach dziecinnych. Poczciwy to był Czech i zamiłowany w swoim zawodzie. W rozmowie nieraz się skarżył na naszego mistrza.

„Ze starszego Frańciszka, będę miał pociechę, mówił, bo pilny do nauk i pracowity, ale co młodszy Jan, to tylko maluje, a maluje jakby z tego mógł mieć kawałek chleba."

Zacny starzec umarł wcześniej nim ów Jan pozyskał europejską sławę i niedoczekał się tej pociechy, ażeby widział, że za obrazy jego hojnie złotem opłacają. Jeden z obecnych na *Wystawie Wiedeńskiej* w roku zeszłym, wszedł wraz z nim do tej sali, gdzie jego obrazy wisiały. Jakiś włoch szepnął tylko, że idzie *Mistrz Matejko*. W tej samej chwili tłum zbity, rozstąpił się przed nim z uszanowaniem i zrobił mu przejście wygodne, jakby panującemu monarsze.

Dodać tu muszę szczegół o starszym bracie Jana, *Frańciszku* na którego ojciec wiele liczył. Rzeczywiście był to człowiek niemałej nauki i wielkiej pracy. Ustępy jego tłómaczenia z *Historyi Czech* Fr. Palackiego i wiele prac samodzielnych drukowałem w Bibliotece Warszawskiej. Zamierzał całe dzieło to przełożyć po polsku. Był *Kustoszem* w bibliotece Jagiellońskiej, gdy wojna wybuchła między Francyą a Prusami. Piorunujące klęski, jakich pierwsza wciąż doznawała, tak silnie szlachetną duszą Fraciszka wstrząsnęły, że dostał obłędu umysłowego i po paru latach zakończył życie.

Dom Matejki na całej Floryańskiej ulicy odznacza się wybitnie. Dawniej, podobnie jak znaczniejsze budynki krakowskie był w stylu *barocco* (początek przekwitu *renaisancu*) dziś zachował dawny styl, spotęgowany ornamentacyą. Białe sciany odróżniają go od wszystkich.

Pomimo wielu niedogodności w tym domu, i niemałego kosztu nowej restauracyi, Matejko pragnął posiadać ojczyste gniazdo. Tu bowiem gdzie ma sypialnię urodził się wielki malarz w dniu 30 Lipca 1838 roku; liczy więc obecnie 36 lat wieku.

Pierwsze naukowe wykształcenie odbierał w szkole gimnazyalnej św. Anny w Krakowie, następnie jako uczeń szkoły sztuk pięknych, doskonalił się w swej sztuce, najprzód pod kierunkiem Wojciecha Stattlera, póżniej Władysława Łuszczkiewicza. W roku 1858 wyjechał do Monachium, gdzie za studya tak zwane *Akademickie* otrzymał medal bronzowy. W roku 1860 był na Akademii w Wiedniu. Przed opuszczeniem rodzinnego miasta, wymalował między innemi obraz przedstawiający: *Karola Gustawa przy grobie Władysława Łokietka w Katedrze na Wawelu*, który zwrócił uwagę znawców na młodego artystę; tudzież: *Zygmunta III. nadającego przywilej szlachectwa profesorom i doktorom Uniwersytetu Jagiellońskiego.* W roku 1859 wykończył obraz: *Otrucie Bony*, z niego reprodukcyą litografowaną wydało Towarzystwo zachęty stuk pięknych w Królestwie polskiem r. 1862 jako premium dla swych członków. W latach 1861—63, utworzył znakomite obrazy, jakiemi są *Jan Kazimierz na Bielanach*, w chwili gdy Czarniecki pali przedmieścia Krakowa gotując się do obrony tego miasta; *Urszulka Kochanowska*, *Sędziwój* alchemik, *Wit Stwosz* ślepy z wnuczką swoją, *Stańczyk* i *Kazanie Skargi*, utrwaliły zasłużoną dobrze sławę Matejki; wielkie wreszcie obrazy jak: *Rejtan*, *Unia* i *Batory*, wywołały podziw i uwielbienie zagranicy.

W dwudziestym pierwszym roku życia już dał nam *Otrucie Bony*, na rok przedtem wydał *Ubiory w Polsce*, jedenaście tablic w kroju wielkiego arkusza, obejmujące ubiory polskie od 1200 roku do 1795, zebrane starannie i umiejętnie z pomników i obrazów dawnych. Zbiór ten szacowny potrzebował wielu lat pracy ażeby go uzupełnić w ten sposób jak podał nam Matejko, i to jedyny zbiór obejmujący najwiarogodniejsze kostiumy z ciągu blizko sześciu wieków. Dopełniał je nadto jeszcze i wzbogacał przez odtwarzanie postaci historycznych tak z pieczęci jak starych obrazów. Wszystkie obejmie *Album Jana Matejki* w przepysznym wydaniu, którego druk już rozpoczął S. Lewental wydawca *Kłosów*.

Matejko, stoi obecnie jako *Dyrektor* na czele tej samej *Szkoły Sztuk Pięknych*, w której się uczył pierwotnie: sekretarzem jej jest *Floryan Cynk*, artysta niepośledniego talentu ulubiony przez mistrza. Szkoła ta liczy dziś do pięćdziesięciu uczniów, z których kilku rokuje świetne nadzieje.

Patrząc na wszystkie utwory zarówno ołówka jak i pędzla Matejki, które wciągu lat 16 wykonał: ogrom ich dostatecznie wykazuje, jak przy geniuszu, którym go Opatrzność obdarzyła, pilnie studyuje dawne zabytki przeszłości i oddany jest ciągłej pracy z żelazną wytrwałością. Patrząc na tę delikatną i wątłą postać, trudno sobie wyobrazić, aby tyle, ta drobna ręka posłuszna myśli, wytworzyła w tak różnorodnych kierunkach, bo dodajmy, że on pierwszy wiele zabytków, budowli drewnianych od zątraty ocalił, jak i wspaniałych widoków zamków przechował.

Przyrósł on do Krakowa, i dlatego najświetniejszego stanowiska, jakie mu ofiarowano w Pradze Czeskiej na Dyrektora Akademii sztuk pięknych, nieprzyjął. Matejko w Krakowie pierwsze świało dnia ujrzał, tu natchnienie boże go opromieniło, tu też chce żyć i być użytecznym, aby stworzyć szkołę polską malarzy, na chlubę swej rodzinnej ziemi. Z pochylonem czołem dziękujmy mu zato błagając Opatrzność o utrzymanie go w czerstwem zdrowiu, aby spełnił te szlachetne i piękne zamiary.

U OGNISKA.

Tak tedy koncert na rzecz niezamożnych uczniów gimnazyalnych przychodzi niezadługo do skutku. Bodaj czy nie pierwsi, w 5 numerze naszego pisma, z dnia 30 października r. b. podnieśliśmy nanowo tę myśl i staraliśmy się zwrócić uwagę prasy i ogółu na potrzebę przyjścia z szybką a skuteczną pomocą tym łaknącym pierwszych promieni światła biedakom. Nie wchodzimy w to z czyjej inicyatywy koncert przychodzi do skutku — ktobądź usiłowaniami swemi przyczynił się do zamienienia myśli w czyn, położył rzetelną zasługę i na szczerą zarobił podziękę. O samym koncercie i dniu, w którym się odbędzie, doniesiemy jeszcze naszym czytelnikom—a przekonani jesteśmy, że nie będzie im potrzeba przypominać obowiązku, jaki mają do spełnienia względem tej młodzieży, kształcącej się na przyszłych pożytecznych członków społeczeństwa. Tymczasem powtarzamy tylko to, cośmy już raz wypowiedzieli, że tutaj nigdy nie podobna zrobić *zawiele*, i że należy się postarać o zgromadzenie jakiegoś funduszu zapasowego, z którego by, w razie potrzeby, w każdej chwili czerpać było można. Funduszu tego dostarczyć mogą odczyty, teatry amatorskie, koncerty i inne zabawy, a przedewszystkiem... dobrowolne ofiary ze strony publiczności. Na pogorzelców z ulicy Złotej złożyliśmy więcej niż wynosiły doznane przez nich straty — dowodzi to, że chętną zawsze dłonią sięgamy po grosz ofiarny, byleby nam potrzeba tej ofiary była znaną i często przywodzoną na pamięć. Dowodzić potrzeby światła, byłoby rzeczą zbyteczną— dostatecznem będzie od czasu do czasu skutecznie ją przypominać.

W ubiegłym tygodniu teatr nasz pokwapił się z przedstawieniem aż 3-ch nowości. Pierwszą był *Flecista* Augiera, świetnie odtworzony wierszem, przez W. Szymanowskiego, drugą *Perichola*, buffa Offenbachowska, wreszcie trzecią komedya p. K. Zalewskiego, „Z postępem." Ostatnia doczeka się w łamach naszych obszerniejszego rozbioru, należy nam więc tylko rzec słówko o poprzednich. Autor „Cykuły," zbyt realnego „Forrestiera," pamfletem trącącego „Giboyera" i satyrycznych „Bezczelnych" dał nam świetnie malowany obrazek o treści zapożyczonej w starym świecie, w rozkosznej niegdy Helladzie. Krytyka zgodziła się na to, iż mimo znakomitego kolorytu, prawdziwego artyzmu, w wykończeniu całości i szczegółów, czuć mocno tę pracę XIX wiekiem. I pasterze i hetery i kupcy—to wszystko nowe, dzisiejsze. Treść nie uboga, a podobna do owej kanwy, na której dziś liczni autorowie francuscy haftują swe dramaty. Powtarzać jej nie możemy— kończąc tylko tę wzmiankę uznaniem dla pełnej i pięknej gry artystów.

Od augierowskiego obrazka do „Pericholi" przeskok ogromny — przepraszamy, bardzo mały, bo tylko z teatru rozmaitości do wielkiego. Rzeczą jest dowiedzioną, iż wesoły majster Jakób, dowcipny, pełen dobrych pomysłów Offenbach wyczerpał się zarówno jak i jego libreciści, pp. Meilhac i Halevy, dw

IV.

Lucyan Siemieński.—Odyssea—Homer w Polsce rozprawa H. Zathey'a.— Zdanie Kremera o Siemieńskim.— Rękopis Królodworski. — Arrasy Zygmunta Augusta.—Szara kamienica.—Podanie o niej.—Seweryn Goszczyński.—Studya o Mickiewiczu i Słowackim.—Rapsod o bitwie pod Warną.—Prezes Akademii Umiejętności Józef Majer.—Herbata u niego.—Adamowicz.—Nowosielski.—Bronisław Zaleski.—Brama Floryańska.—Józef Szujski.—A. H. Kirkor. — Akwarela Matejki.—Ejsmont, redaktor książki zbiorowej w Kijowie.—Kopernik Matejki.— Dr. Adryan Baraniecki.— Walery Eljasz.—Jego pracownia.—Profesor Władysław Łuszczkiewicz. — Jego prace. — Adam Asnyk poeta.—Wyjazd z Krakowa.

Poszedłem odwiedzić Lucyana Siemieńskiego, z którym mnie od r. 1833 łączą stosunki przyjacielskie, a znajomość rozpoczęła się we Lwowie za naszych lat młodych. Mieszka on w Rynku obok kościoła Panny Maryi wprost *Sukiennic* w kamienicy zwanej *Szarą* na drugiem piętrze. Z okien swych ma piękny widok bo na większą połowę Rynku zawsze gwarnego.

Tu, szczęśliwym trafem znalazłem Seweryna Goszczyńskiego, któregom na próżno szukał po Krakowie. Po czterdziestu jeden latach niewidzenia, jakże serdeczny był uścisk i powitanie braterskie!

Siemieński właśnie ukończył wydawnictwo mistrzowskiego swego przekładu *Odyssei* Homera, rozkoszowałem się też czytając to arcydzieło tłómaczeń. Właśnie w *Przeglądzie miesięcznym* wydrukowano znakomicie napisaną rozprawę *Hugona Zathey'a* p. n. *Homer w Polsce*. Autor, snać biegły filolog ale zarazem ze smakiem artystycznym, zamyka jąceną przekładu Siemieńskiego. Godne są uwagi, niektóre jego wielce trafne spostrzeżenia. Najprzód chwali, że tłómacz wybrał wiersz trzynastozgłoskowy.

„Wybór ten, (pisze), za najszczęśliwszy uważamy i za najlepszy. Jeśli niemożna tłómaczyć *hexametrem*, to jak widzieliśmy nikt go dotychczas w naszym języku nie stworzył, to najlepiej już oprzeć się na tradycyi całej naszej poetyckiej literatury. Począwszy od Jana Kochanowskiego aż do Adama Mickiewicza, wszyscy poeci używali w poezyi epickiej wiersza trzynastozgłoskowego. Wierszem tym pisany: *Pan Tadeusz*, pisana *Marya*, pisana *Wojna Chocimska*, Wacława Potockiego. Ma więc wiersz ten—w epopei polskiej, uznane prawo obywatelstwa, tak jak *hexametr* w greckiej i rzymskiej. Mógłby się może kto martwić, że nie zawsze można w jednym wierszu polskim, pomieścić to samo co w greckim, który ma zgłosek piętnaście lub szesnaście, że potrzeba będzie posuwać się do wiersza następnego, że liczba wierszy przez to niepomiernie urośnie. Siemieński dowiódł, że i w tej mierze nie uległ trudnościom. Tłómaczenie jego zawiera w każdej księdze tylko o kilka a najwyżej o kilkanaście wierszy więcej niż oryginał, a bardzo często w polskim wierszu, mieści się cały grecki. Tłómaczenię Siemieńskiego oddaje wszędzie wiernie myśl oryginału i świadczy o bardzo gruntownem tegoż rozumieniu, a niektóre myśli tak jasno i z taką prostotą wyraża, że nawet czytanie greckiego tekstu ułatwia." (*d. c. n.*)

SŁOWIANIE
na ziemi Madziarskiej,

PRZEZ

A. H. Kirkora.

(Dalszy ciąg)

Już w r. 1718 pierwsze hasło do takiej odrębności, podał ksiądz katolicki, Aleksander *Maczay*, ogłaszając swoje kazania w gwarze słowackiej. (*Chleby prwotin neb Kázani na nedéle celého roku, v Trnavě 1718*). Jezuici z widoków osobistych zaczęli silnie popierać to przedsięwzięcie, a to dlatego, aby się odróżnić i dać odpór Słowakom protestanckim, którzy używali języka czeskiego. Usiłowania te trwały niemal przez całe stulecie, bez widocznych jednak wpływów. Mieli już w owym czasie pisarzy, działających w kierunku tej nowej szkoły *Hazdę*, *Bayzę*, *Fandlego*, ale do utrwalenia i rozwoju tego nowego piśmiennictwa najwięcej przyczynił się Antoni *Bernalak*, ksiądz katolicki, dziekan i dyrektor szkół ludowych. Miał on wpływy znaczne na lud, a i poparcie dzielne znalazł w prymasie węgierskim *Radnay'u*; który i sam ogłosił kilka kazań swoich w gwarze słowackiej.

Ks. *Bernalák* (ur. 1762; zm. 1813) stworzył język podług rodzimej swej gwary tyrnawskiej, ogłaszał w niej swoje kazania, napisał nawet gramatykę słowacką, podług dowolnie utworzonych prawideł, oraz Słownik języka wielkich rozmiarów, dokończony już po jego śmierci przez kanonika Jerzego *Palkowicza* (zm. 1835 r.), także gorliwego popieracza nowej szkoły.

Jeszcze gorliwszego propagandzistę znaleźli Jezuici w księdzu Janie *Hally'm* (1785; zm. 1849). Ten już przekładał utwory klasyczne greckie i rzymskie, ogłosił także i kilka własnych poematów wierszem, jak np. *Świętopełk* (*Swatopluk*, *wit'ažká báseň*, 1833), *Cyryllo-Metodiada* (1835), *Slawa* (*śláv*), i wiele innych prac pomniejszych.

Hally usiłował oderwać zupełnie Słowaków od Czechów, nad czem całe życie pracował żarliwie. Nie miał on ani poetycznego natchnienia, ani wyższych szlachetnych poglądów, a miał więcej od innych powodzenia dlatego, że uprawiał literaturę świecką, mienił się poetą, chociaż daleko więcej wydał dzieł treści religijnej.

Pojedyncze usiłowania duchowieństwa katolickiego znalazły współczucie w partyi klerykalnej, co też dało możność zawiązania w Peszcie „Towarzystwa przyjaciół języka i piśmiennictwa słowackiego (*Spolka milovników reci a literatori slovenskéj*).

Boleli nad tem rozdwojeniem Czesi, jak niemniej i Słowacy protestanci. Widząc jak już jest szeroki zakres działalności ich przeciwników, uważali za konieczne i u siebie utworzyć podobne stowarzyszenia, jedynie w celu utrzymania wspólności języka czeskiego. W roku 1803 ogłosili oni *Statut mowy czesko-słowiańskiej*, (w Preszpurgu), w roku zaś 1812 staraniem patryotów słowackich *Lowicha* i znakomitego pisarza czeskiego (Słowaka) Bogusława *Tablica*, założonem zostało *Towarzystwo*

---

prawdziwe Ajaxy literackie. Poczciwy jednak Offenbach sam w brak swej twórczości nie wierzy, a przynajmniej udaje, że go nie widzi, ratując się w ostatecznej potrzebie zapasem z lat dawniejszych. Publiczność francuska i niemiecka przyzwyczaiła się już do tego bagatelizowania, nie razi jej kuplet, gdy ma się prawo domagać aryi, klaszcze ucieszona figielkami zastępującemi prawdziwą muzykę — my, wyznajemy to szczerze, dopiero od „Bandytów" i ostatniej burleski, zaczynamy tej cnoty cierpliwości i pobłażliwości nabierać. Nie śmiejemy się więc, ani z czczych konceptów librecistów, ani z bladej roboty kompozytora — siedzimy tylko na purpurowych aksamitach pełni spokoju i oczekiwania. Oczekiwania zawodzą; tak stało się i z *Pericholą*. Ciekawości naszej nie zaspokoiła fabrykancka trójka, natomiast uczynili jej zadość artyści, w liczbie których stanął w ostatnich dniach pan Michał Chodźko, który jako Noe (*nom de guerre*), występował dotąd tylko na scenach francuskich. Gościa przyjmowaliśmy serdecznie, bo też na to w zupełności zasługuje werwą swą, wdziękiem, pełną humoru grą i przyjemnym śpiewem. Jeżeliby się odważono na dalsze offenbachiady, w takim razie p. Chodźko, celem umożliwienia ich byłby koniecznym.

Janek z Bielca (Jan Kanty Gregorowicz), znany i wytrawny pisarz ludowy, milczący od dłuższego czasu, zapowiada nową na tem polu działalność. Z radością witamy tę zapowiedź radzi, iż niwa ludowa, tak opuszczona i uboga w oraczy, odzyska tyle dzielnego pracownika. P. Gregorowicz ogłasza wydawnictwo książeczek dla ludu, które oby równie skutecznie podziałały jak niezapomniane *Zarysy wiejskie*.

Dwa pożary, jakie się ostatniemi czasy wydarzyły, przybrały w mieście Warszawie tak szerokie rozmiary, z przyczyny gęstej mgły uniemożebniającej widok nietylko samego pożaru z czatowni straży ogniowej, ale również sygnałów ogniowych, wywieszanych na wieży. Z wzrostem naszego grodu, wypadki takie coraz częściej mnożyć się będą, jak to ma miejsce we wszystkich miastach, gdzie z mgłą zwyczajną łączące się wyziewy różnego rodzaju, między innemi dym wychodzący z kominów, tworzą tak zwaną mgłę czarną, z jakiej słynnym jest zwłaszcza Londyn. Że i w Warszawie bywają mgły gęstsze niżeli w innych miejscowościach, przekonywa sprawozdanie aeronautów, z podróży balonem Jules Favre, odbytej w roku 1872, pod sterem kapitana Bunelle. Wzniósłszy się do pewnej wysokości, obserwowali oni Warszawę, otoczoną kulistą chmurą mgły, jakby umieszczoną pod kloszem. Zjawisko to wspólne wszystkim wielkim miastom, unosi się również ciągle nad Warszawą, w porze zaś zimniejszej, kiedy powietrze bywa gęstsze i cięższe, powiększa się stosunkowo, a gdy połączy się jeszcze z mgłą naturalną, powstającą z pary wodnej, zawartej w dolnych warstwach powietrza, staje się tak gęstem, że w niezbyt wielkiej odległości, nieprzepuszcza zupełnie działania promieni światła. Skutkiem przeto tych naturalnych własności, nie przypadkowo lecz endemicznie się objawiających, w interesie ogółu mieszkańców, dotychczasowy systemat porozumiewania się straży ogniowej między sobą za pośrednic-

uczone słowackie (w okolicy bańskiej). Nadto zdołali wyjednać otwarcie w Preszpurgu katedry czeskiego języka, na której zasiadł (inny), Jerzy *Palkowicz*, wielki zwolennik jednoty czesko-słowackiej i pisarz czeski zasłużony (1769; zm. 1849).

Tak więc zaczęła się wojna domowa, rozterki i niesnaski wewnętrzne. Węgrzy korzystali z tego rozdwojenia i nie przestawali szerzyć swojego języka madziarskiego, do szkół i wszędzie go wcielając. A znalazło się niemało i takich wyrodnych Słowaków, którzy otrzymawszy jakie stanowisko rządowe, nietylko wyrzekali się mowy słowiańskiej, ale zostawali gorliwymi jej prześladowcami.

Widzieliśmy, że działalność stronnictwa katolickiego głównie była skierowaną ku temu, aby conajwięcej wydawać książek treści religijnej w języku ludowym pisanych. Jedyny poeta, Jan Hally nie może być nawet uważany za wieszcza narodowego, gdy tymczasem w narodzie słowackim tkwiło jeszcze wiele życia, poezyi, patryarchalnych zwyczajów i cnót przechowanych od praojców słowiańskich. Ich piosnki ludowe, podania, legendy, zawierają w sobie skarby nieocenione, a pochodzą nieazawodnie z epok bardzo odległych, niektóre zaś noszą jeszcze cechę bałwochwalczą. Pod tym względem Słowacy wyżsi są nawet od Czechów i Polaków, a porównani być mogą tylko z Serbami i Rusinami (przeważnie Białorusinami), którzy tak samo w powieści gminnej przechowali najciekawsze zabytki, już to dla mitologii słowiańskiej, już dla lepszego zrozumienia pojęć i poetycznego usposobienia Słowian pierwotnych.

Młodzi jeszcze wówczas Słowacy, Paweł Józef *Szafarzyk* (28-letni) i Jan *Kollar* (30letni) chociaż byli najzupełniej przeciwni rozdwojeniu narodowemu w piśmiennictwie, wszakże zamiłowani w poezyi ludowej, nadto wysoce ceniąc zasady etnograficzne, uważali za stosowne spisywać piosnki ludowe w dosłownem ich brzmieniu, podług gwary miejscowej. Jakoż Szafarzyk ogłosił te piosnki w 2 tomach w 1823—1827. Przedmowa jego tchnie miłością ziemi rodzinnej, a zarazem dobitnie maluje potrzebę łączności z literaturą czeską. Przytaczamy tu w przekładzie tę piękną i szlachetną przedmowę:

„Daremny i nieznośny jest krzyk tych, którzy mówią: piszmy po słowacku, myśmy nie Czesi! A czy to po słowacku piszą Handerburcy, Krekacze, Bernolák i Czaplowicz? Bezwątpienia, ktróżby nie chciał swojej mowy utrzymać, a stąd i dla Słowaków nic innego nie wyniknie nad to, co się stało przy budowaniu wieży babel, każdy rozpierzchnie się w inną stronę, rozmnoży język, lecz nie pomoże rozwinięciu się rozumu. Przypuśćmy, że w całych Węgrzech jedno tylko narzecze słowackie mogłoby się utrzymać, ale jako wzrosłe w szczupłej krainie, prędzej czy później zwiędnąć musi; będzie to słaba roślinka, która pod cieniem wielkich drzew słowiańskich, dla braku słońca zaginie, tak samo jak pod dębem literatury niemieckiej, nie mogą wzrosnąć krzewy holenderskie, duńskie, szwedzkie.

„Literatura narodowa tym prędzej i świetniej rozkwita, im szerszy jest jej zakres, im wolniej, szerzej i dalej przelatuje na skrzydłach od gór do gór, od brzegu do brzegu, a znalazłszy własne podpory i ponęty, nabywa znamion jednostronnych, wielkich, wzniosłych, czysto ludzkich, które promieniami swemi oświecają nietylko wioski, miasteczka, szkoły, cechy i biesiady, ale całe krainy i narody.

„Jest to wielki zysk dla nauk i znajomości ludzkiego pokolenia, gdy choć szczupły ale pierwotny naród, ma swoję własną mowę, oswiatę i piśmiennictwo; gdyż każdy język, każdy naród, jest nową stroną oblicza ludów, nową wyspą na morzu duchowego żywota. Ale na jednej i tej samej wyspie, tworzyć ostrowy i wysepki, jest zabawą dziecinną, właściwą maleńkim duchom, które do wszechstronnej wielkości wznieść się nie mogą. Naród słowiański już jest wewnętrznie i zewnętrznie rozebrany, rozdrapany, rozerwany, rozobyczajony i rozdzielony, byłoby więc występkiem dzieli go jeszcze na mniejsze, niedojrzane cząsteczki. Przeciwnie, największą jest zasługą, rozerwane członki w jedno ciało połączać i jednem słońcem naukowości oświecać. Zniknienie jednego małego narzecza, nie jest jeszcze wielką stratą, gdy przez to niezmierne korzyści nabywamy. Wały Dunaju, gdy w jeden prąd są zgromadzone, unoszą na swoim grzbiecie walne okręty, po rozpierzchłych zaś strumieniach, zaledwie przesunie się płytka łódź przez piasczyste wymuły. Tak się dzieje i z literaturą narodową." *d. c. n.*

CIEPŁO i ŻYCIE.

(Dokończenie).

Zwierzę poddane zabójczym wpływom nadmiernego ciepła, przedstawia z kolei charakterystyczne zjawiska. Najpierw staje się ono niespokojnem, potem oddycha pośpiesznie, ogrzewa się zwolna przez obieg krwi, roznoszącej ciepło od obwodów ciała do środka — wreszcie ulega konwulsyom. Bicie serca wówczas zatrzymuje się i gaśnie, przeciągły krzyk zwiastuje o kresie życia. Ciepłomierz wtedy okazuje, że ciepło ciała jest o 4 lub 5 stopni wyższem, od normalnej właściwej mu temperatury. Zrazu zwierzę zdaje się przejawiać pewną siłę, pulsacye jego są żywsze podniecenie to jednak jest tylko przechodniem—po pewnym czasie miejsce ciepła zajmuje śmiertelne zimno. Bernard badał starannie zwierzęta, utracające życie w tych warunkach—uderzała go przedewszystkiem szybkość, z jaką następowała trupia sztywność. Serce stawało się nieczułem na wszelkie podrażnienia—sine plamy występowały w wielu miejscach na skórze. Pod wpływem nadmiernego ciepła, krzepnie miękka materya tworząca włókna mięśniowe, które niszczeją. Z drugiej strony krew tętnicowa czernieje, ogołaca się z tlenu, przesyca kwasem węglanym, i staje się podobną do krwi żylnej. Krew wszakże w tym stanie nie traci swych własności fizyologicznych, i pod wpływem nowej ilości tlenu, może odzyskać normalne swe cechy. Ciepło, jeżeli tylko nie jest zbyt podniesionem, ułatwia palenie się w krwi zachodzące, i wcale jej nie zmienia. Układ nerwowy nie zdaje się też ulegać cierpieniu. Mięsień najgłębiej bywa dotkniętym. *Ciepło jest trucizną dla układu mięśniowego*, działa ono na organizm wówczas, jak siarkocyanek potasu lub upas malabarski. Utrata własności życiowych tego układu, sprowadza sztywność mięśni, powstrzymuje obieg krwi,

---

twem sygnałów ogniowych, należy zastąpić innym, mniej zawisłym od zmian atmosferycznych.

Maluczko, maluczko, a będziemy mieli miasto po angielsku— zdezinfekcyowane. Wskutek warunków bowiem podanych przez wspomniane kilkakrotnie towarzystwo angielskie Zarząd miasta oświadczył, że warunkom tym uczyniłby zadość wedle swojej możności, w takim tylko jednak razie, jeżeli liczne i zupełne a wystarczające próby wykażą istotną użyteczność systematu dezinfekcyi używanego przez to towarzystwo. Zarząd miasta deklaruje się wtedy zawrzeć umowę z towarzystwem co do gmachów miejskich, na zasadach, które posłużyły do spisania kontraktów z innemi miastami, a mianowicie z Glasgowem. Miasto prócz tego poda w wielu razach rękę towarzystwu, (rzecz obchodząca tylko specyalistów), dziś zaś, celem ostatecznego zbadania tej rzeczy, wyszle do Glasgowa fachowego znawcę. Ostrożność godna uznania. Pan Daniszewski rozpoczął budowę swych tam na Wiśle (notujemy, iż ta nagle się podniosła do dziewięciu cali), postępów jednak roboty i jej rezultatów, podać obecnie jeszcze nie możemy. Na polu handlowem zapanował ruch— jak tego dowodzą liczne zawiązane właśnie spółki, a między temi spółka komandytowa, mająca na celu: kupno i przedaż maszyn wszelkiego rodzaju, tak rolniczych jak i przemysłowych, urządzanie nowych zakładów fabrycznych, oraz przedsiębierstwo dostaw do budowy dróg żelaznych. Przedsiębiorstwo to, pod firmą *Prądzyński, Tryl-ski i Spółka*, przedstawiające wszelkie gwarancye, prowadzone będzie z nieznaną u nas ruchliwością. Czynności swe rozpocznie z Nowym Rokiem.

W tych dniach oglądaliśmy budowę kościoła parafialnego Wszystkich Świętych, przy placu Grzybowskim. Świątynia ta wznosi się według planu znakomitego budowniczego, który miasto nasze wieloma arcydziełami struktury wzbogacił, Henryka Marconiego. Praca około domu bożego postępuje teraz nader raźno pod kierunkiem osobno wybranego komitetu. Niedawno czytaliśmy w pismach codziennych, iż nieznajomy ofiarodawca zobowiązał się do wystawienia ołtarza, którego koszt wynosić będzie 40,000 rubli, drugi zaś łożyć będzie na wykończenie wspaniałego frontonu. Nowy to dowód niewyczerpanej ofiarności Warszawy. Tu wspomnieć także należy, iż pewien dobroczyńca kupił dom, przy ulicy Marszałkowskiej, na przytułek dla paralityków.

Doprawdy, że Kielce, z tego co o nich czytamy i słyszymy, wydają nam się istną ziemią obiecaną i Warszawa pod wieloma względami mogłaby i powinna wstępować w ich ślady. I tak, gdybyśmy szli za przykładem Kielc, bylibyśmy już przed kilkoma laty pomyśleli o pomocy dla młodzieży gimnazyalnej... ale o tem sza, bo dziś właśnie jesteśmy podobno na drodze poprawy pod tym względem... Gdybyśmy mieszkali w Kielcach, w mieszkaniach naszych byłoby ciepło, choćby na dworze panował mróz kilkunasto-stopniowy, w tej błogosławionej bowiem miejscowości, za sążeń drzewa dębowego dobrej miary z odstawą, płaci się rubli *dwa* kopiejek *osiemdziesiąt pięć*, a za ta-

a tem samem oddychanie, i stanowi przyczynę śmierci. Zniszczenie własności kurczenia się włókna mięśniowego, następuje w 37 lub 39 stopniu ciepła, u zwierząt posiadających krew zimną—w 43 lub 44 stopniu, u ssaków—w 46 lub 48 stopniu, u ptaków—czyli w ogóle w temperaturze o 5 lub 6 stopni wyższej od normalnej, właściwej rozmaitym gatunkom zwierzęcym. Ze spostrzeżeń tyle szacownych Bernarda, wypływa, że w żadnym razie życie nie stawia oporu ogrzewaniu się, lecz przeciwnie je przyśpiesza. Ciepło wewnętrzne wytwarzane przez zwierzę, łączy się tu z ciepłem nabytem, a odżywianie się krwi, będące warunkiem ogrzewania się, spełnia się wówczas bardzo szybko. Dodać winniśmy, że niedawno Demarquay szczęśliwie skorzystał z tego trującego wpływu ciepła, oddziaływającego na mięśnie. Uzdrawiał on osoby chore na straszliwe kurcze mięśniowe, zwane tężcami (tetanos), poddając je wpływowi cieplika w łaźniach, bardzo silnie ogrzewanych. Podniesienie temperatury mięśni tężcom uległych, dostatecznem było do przywrócenia zdrowia. Trucizna stawała się tu lekarstwem.

Takie są wpływy nadmiernej temperatury, oddziaływającej na zwierzęta. Zobaczmy teraz jak na nie wpływa ośrodek zimny.

Oddawna znane są ciekawe fakty, dotyczące skostnienia niektórych jestestw. Gajmard odbywając podróż po Islandyi w latach 1828 i 1829, wystawiał na powietrze otwarte, pudło napełnione ziemią, w środku którego umieścił ropuchy. Po upływie pewnego czasu otworzywszy pudło, znajdywał ciało ropuch twarde, rozpadające się. Skrzeki te były zmarznięte, powracały jednak do życia, po zanurzeniu ich w wodzie ciepłej. Fakt ten naprowadził znakomitego fizyologa angielskiego Johna Huntera, na osobliwszy wniosek—według niego możebnem było przedłużyć do nieskończoności życie człowieka, pozostawiając go w klimacie bardzo zimnym, i peryodycznie zamrażając jego ciało. Człowiek taki, mawiał on, żyłby może tysiąc lat, gdyby po upływie każdych dziesięciu lat, poddawano go zamrażaniu, wystarczającemu na sto lat. Ogrzewanie ciała po takiem experymencie, miało powoływać zmarzłego do życia.

„Spodziewałem się, dodaje Hunter, pozyskać sławę nieśmiertelną, gdyby mnie niestety nie rozczarowało najzupełniej doświadczenie." Umieściwszy karpia w mieszaninie oziębiającej, przekonał się on, że po zupełnem zamrożeniu ryba nie mogła odzyskać życia. Wpływ zimna na jestestwa organiczne, zmienia się odpowiednio do wyższego lub niższego ich ustroju. Do zamrożenia zwierząt, potrzeba wielce niskiej temperatury ośrodka. Zwierzęta ssące, krain biegunowych, pomimo gęstego futra pokrywającego ich skórę, pokonywają wpływy temperatury, obniżonej do 40 stopni niżej zera, to jest do punktu, w którym rtęć marznie, tylko tym sposobem, że zagrzebują się w śniegu, stanowiącym w tym razie ich pomieszkanie.

Eskimosy również w takim śniegu budują sobie chaty w których spędzają smutne swe życie. Gdy organizm nie może zwalczyć zimna, ani zabezpieczyć się przeciw niemu, śmierć szybko następuje w skutek zmarznięcia. Ciało wówczas z dziwną siłą opiera się rozkładowi. Każdemu znaną jest historya mamuta diluwjalnego znalezionego w lodach Syberyi, gdzie przechował się bez zepsucia, jak gdyby przed chwilą śmierć nastąpiła.

Ciepło niszczy tkanki—zimno je konserwuje. W jaki sposób zimno działa zabójczo na organizm? Na to pytanie odpowiadają spostrzeżenia zebrane z faktów. Zimno zdaje się oddziaływać na system nerwowy, a więc wpływa drogą przeciwną niż ciepło, niszczące system mięśniowy. W okolicach biegunowych ludzie dręczeni zimnem, przejawiają niepokonaną skłonność do snu. Na pobrzeżach lodowatych podbiegunowych, Solander rzekł do swych towarzyszy: *„Ktokolwiek z was spocznie, uśnie natychmiast—ktokolwiek uśnie, już się więcej nie zbudzi."* Skłonność jednak do snu stawała się tak wszechwładną, że wielu majtków Solandera jej uległo, sam on nawet osłabł na śniegu. W czasie zimy 1709 roku, dwa tysiące Szwedów, stanowiących awangardę Karola XII, zginęło ujętych snem wieczystym—snem pochodzącym z wpływu zimna. Pouchet wyjawił nam tajemnicę tego rodzaju śmierci, okazał bowiem, że zimno działa nietylko na ośrodki nerwowe. Doświadczenia jego uwidoczniły, że gdy temperatura wewnętrzna ciała, obniża się do 10 lub 12 stopni poniżej zera, zimno mrozi w większym lub mniejszym stopniu krew, raniąc silnie jej ciałka, których zmiana sprowadza zawieszenie wszelkich funkcyi życiowych.

Larrey opisuje wypadek, jakiemu uległ Sureau, naczelny lekarz armii ruskiej, który będąc przeziębły mocno, w utrudzającym marszu po śniegu, umarł dopiero w chwili, gdy zaczęto go rozgrzewać.

Doświadczenia odbywane na zwierzętach udowodniły, że te utrzymywane w stanie w półzmarznięcia, przejawiają życie, gasnące dopiero w tedy, gdy je rozgrzewano i przywracano obieg krwi—przyczem jej ciałka rozprzężone w skutek zimna, rozpraszały się we wszystkich naczyniach. Owóż śmierć zawsze następuje, gdy znaczna liczba owych ciałek już zepsutych, dostaje się do naczyń, gdyż ciałka te wywołują groźne zaburzenia w całej ekonomii zwierzęcej. Każde zwierzę zmarzłe, posiadające krew zastygłą, a tem samem zepsute ciałka krwi, musi umierać. Ogrzewając taką istotę pozyskujemy tylko trupa rozmiękłego, wybladłego, z oczyma szklanemi. Jeżeli jeden tylko członek jest zmarzłym, niszczy go w krótce gangrena. Badania Poucheta, doprowadziły go do wniosku bardzo praktycznego. Ponieważ w zamrożeniu jakiejkolwiek części organizmu, ciałka krwi zepsute wprowadzone w obieg, zmieniają krew i pozbawiają tem samem życia, jasną jest rzeczą, że im gwałtowniej wdzierać się tam będą, tem prędzej śmierć nastąpi. Owóż według niego, należałoby powstrzymać ten ich napływ, przewiązaniem temu przeszkadzającem. Ciałka krwi przedzierając się w masie do serca i płuc, niszczą życie, w skutek nagłego zepsucia krwi. Jeżeli więc zwolna tylko, będą do tych organów przechodzić, wpływ ich szkodliwy stanie się nie wiele znaczącym.

Opierając się na najnowszych spostrzeżeniach fizyologii doświadczalnej, poznaliśmy wpływy ciepła i zimna, występujące w charakterze czynników trujących. Ciepło nadmierne jest trucizną włókna mięśniowego—zimno zatruwa ciałka czerwone krwi.

Odpowiednio do rodzaju wpływów, ciepło może być lekarstwem uzdrawiającem, lub też śmierć sprowadzać.

Człowiek jest więc wątłą igraszką sił go otaczających, często mu wrogich. Nie może on wyłamywać się z pod praw zarządzających przyrodą, lecz znajduje przynajmniej pociechę w poznawaniu tych praw, i w stosowaniu się o ile można, do twardych warunków życia. Przyroda niszczy jego organizacyą bezwiednie, on jednakże posiada świadomość tego co mu zagraża, wynajduje sposoby zabezpieczenia się od tej szafarki śmierci i życia.

Pozostaje nam jedno jeszcze pytanie do rozwiązania. To ciepło istniejące w ekonomii zwierzęcej zkąd powstaje? Niema żadnej wątpliwości, że pochodzi ono z pokarmów, które ostatecznie otrzymujemy z roślin, gdyż wszelkie zwierzę służące nam za pożywienie, karmi się roślinami. Zkądże rośliny otrzymują ciepło—ze słońca. Tak więc gwiazda dzienna, złożyła i składa obfity zasób ciepła w organizmie zwierzęcym.

W rezultacie zatem siła słoneczna jest niewyczerpanem źródłem życia, i wieczystą jego sprężyną. *Wincenty Niewiadomski.*

---

kiż sążeń drzewa sosnowego, o trzydzieści kopiejek mniej. Gdybyśmy wreszcie byli mieszkańcami Kielc, nie wyprawialibyśmy obiadów pożegnalnych ani wieczerzy składkowych w celu uczczenia tego lub innego *zasłużonego męża*, ale złożony przy serdecznych życzeniach grosz ofiarny—obracalibyśmy na cele istotnie dobroczynne, bo na cele oświaty. I postępując tak, nie czynilibyśmy ujmy *zasłudze*, którą uczcić chcemy — bo pytamy się, w prostocie ducha, co ma wspólnego złożenie hołdu zasłudze — z obładowaniem żołądka wykwintnemi frykasami? A jednak ten sposób objawiania czci i wdzięczności, praktykuje się dotąd jeszcze... w niektórych wielkich miastach, i to z powodzeniem.

Pp. Godefroy, właściciel Solca, Ludwik Walichnowski i doktór Wyrzykowski, zawiązali spółkę, celem udogodnienia kuracyi w Solcu i postawienia tamtejszych zdrojowisk na stanowisku, odpowiedniem innym tego rodzaju miejscowościom. Spodziewać się należy, że spółka ta zajmie się gorliwie Zakładami Soleckiemi i zachęci chorych do odwiedzania krajowego zdrojowiska, przez co choć jakaś cząstka corocznie wywożonych zagranicę pieniędzy, pozostanie w kraju. Czasby też pomyśleć i o innych miejscowościach kuracyjnych kraju naszego. Ciechocinek, Busk i inne zdrojowiska, powinny pójść za przykładem Solca.

Oprócz innych rozrywek, jakie nam zapowiadają na sezon zimowy, będziemy także podobno mieli gościa, który wraz z trupą artystów dramatycznych włoskich, ma zamiar zawitać do nas w celu dania kilku przedstawień w Teatrze Wielkim. Mówimy tu o słynnym tragiku Erneście Rossim, który według zdania krytyki, nietylko włoskiej i amerykańskiej ale i surowych znawców niemieckich trzyma dziś palmę pierwszeństwa pomiędzy przedstawicielami postaci szekspirowskich.

Divina Commedia, Danta, w ciągu trzech wieków doczekała się zaledwie stu kilkudziesięciu wydań, a *365 obiadów za pięć złotych*, w ciągu lat kilku dziewiątej edycyi. Pokazuje się zatem, że korzystniej przemawiać do żołądka czytelników niż do ich serca i duszy.

Koncerty nie kończą się tylko na zapowiedziach. W bieżącym tygodniu słuchaliśmy w poniedziałek, koncertu panny Maryi Schlesygierównej, wielce sympatycznej artystki opery. Dość nielicznie zgromadzona publiczność, obsypywała artystkę hucznemi oklaski za śpiew, pełen czucia i sztuki. Objawy te powinny zachęcić artystkę do dalszej pracy, czego rękojmię daje nam jej dotychczasowa gorliwość. Z współdziałających na szczególną zasługuje uwagę p. Cieślewski, który wykonaniem mozartowego śpiewu *An Chloe*, nową odkrył stronę swego pięknego talentu. W sobotę posłuchamy gry fortepianistki panny Jakubowiczównej, poczem—opera włoska, Patti i Nilson w marzeniach.... Tymczasem sankujemy się co starczy sił, czasu i—śniegu!

NAJTRUDNIEJSZY z obowiązków macierzyństwa.

Macierzyństwo! — sam już dźwięk tego wyrazu rodzi w nas tyle rzewnych, tyle błogich uczuć, — pobudza duszę naszę do tak szczytnych, czystych i poważnych zarazem myśli, — iż, gdyby na definicye tej boskiej siły, etyka i filozofia, wyczerpały już cały zapas naukowych zasobów swoich, to jeszczebyśmy dla samej tylko przyjemności mówienia o niej, nie odwracali się od nikogo, coby uroczystą modlitwę naszę do niej, chciał kilkoma nowemi słowy zbogacić. Zważmy bo tylko, iż z tego źródła czerpie cała ludzkość swoje życie; zważmy, że wszystkie najpromienniejsze jej ideały, wprzód nim wystrzeliły ponad głowy nasze słońcami, musiały w czystych wodach jego przyjąć swój chrzest i poświęcenie; zważmy, że na dnie jego szumią zarówno wulkaniczne siły, które wstrząsają bytem naszym, jako i ciche, łagodne żywioły, miarkujące zbyteczny wir jego; zważmy wreszcie, czem jest ot poprostu dla każdego z nas matka, żyjąca jeszcze, lub też nawet umarła, gdy ta ostatnia sam swój obraz już tylko pozostawiła w naszem sercu— zastanówmy się nad tem wszystkiem, a z pewnością przyznamy, że z całego mnóstwa przedmiotów, któremi się zajmuje myśl ludzka, *macierzyństwo* jest najzacniejszym i najmniej zarazem dającym się wyczerpać przedmiotem.

Kto śledził za rozwojem własnej duszy, za objawami uczuć, złych lub dobrych, których we własnem sercu doświadczał,— kto, jednem słowem, myślał nad sobą,— ten wie, pod czyjem skrzydłem wypiastowaną została cała późniejsza jego wartość, z której raz był dumny wobec samego siebie, a której znów innym razem we własnych oczach wstydzić się musiał; jak zwracał wtedy oczy z dziękczynieniem lub ze smutkiem, w stronę, gdzie w młodości miał swój dach rodzinny... i jak szukał myślą pod jego sklepieniem świętej postaci swojej rodzicielki. Była to raz kobieta piękna i młoda, to znów schorzała i stara innym razem; raz ukształcona i uczona nawet, innym razem tylko pobożna i prosta; raz królowa samych balów, gwiazda uczt i zabaw, to znów poważna rodzinnego ogniska kapłanka, od której wiały tylko cnota, niewinność i skromność... Ale zawsze, jakąkolwiekby ta matka była, sięgał ku niej myślą wdal lub poza grób nawet, i w jej sercu, w jej mowie doszukiwał się nasion, z których jego własna duchowa istota wyrosła.

Okropnym też, tak jest, musibyć smutek ludzi, co nie zaznali oblicza własnej matki. Z wszystkich biednych—naprawdę— ci najbiedniejsi chyba. Jeśli grzeszą, a Bóg karze za grzechy, to im zapewne wszystko coby uczynili źle, odpuści; jeśli popełniają zbrodnie, to sędziowie inne całkiem wyroki wydawać na nich powinni. Gdy zaś tacy ludzie posiadają cnoty, gdy się wsławiają i zasługują na cześć, to te cnoty i cześć ta, warte są chyba zawsze pomników!

Po szerokiem morzu życia, na kruchej łódce samych tylko własnych instynktów, otoczony zewsząd skałami ludzkich przygód, wirami, które po głębi tegoż morza wyżłobiła tu ludzka ograniczoność, tam ludzka pycha, a tam znów zawiść—ktoś, po takiej przestrzeni, płynący bez steru, sam!.. zważcie tylko!.. A mówimy *bez steru*, bo tem imieniem nazywamy wszystko, cokolwiek w nas wpoiła, czego kolwiek nas nauczyła i w co kazała nam wierzyć— matka. Jakąkolwiek byłaby ta wiara, to zawsze ona *wiarą* będzie—wiarą,— a więc czemś, co nas przed szalonem fal opętaniem, przed kaprysami *niezmierzoności* bronić jest w stanie.

Nadając takie znaczenie *macierzyństwu*, nie czujemy się też nigdy znużeni myślą o niem; i dzisiejszą pogadankę rozpoczynamy też z większem gorącem, z większą powagą i szczerszą wolą o tyle, o ile ta o jednę ze stron tegoż macierzyństwa zaczepia.

Chcemy mianowicie zapytać matek, które wszystkie już obowiązki swoje pełnią z rzeczywistem kapłaństwem, czy w rzędzie tych obowiązków nie zapominają o jednym jeszcze, małym niby pozornie, a jednakże w skutkach swoich niesłychanie ważnym obowiązku —oto, czy wszystkim dzieciom swoim, niezależnie od tego, jakie te są: gorsze czy lepsze, brzydsze czy ładniejsze, mniej lub więcej zasługujące na ich pieszczoty,—okazują jednakowo macierzyńską swoję miłość, jednakowo czułość macierzyńską? Zdarza się bowiem często, iż matka, skądinąd najprzykładniejsza, posiadając kilkoro dzieci, które nie wszystkie naturalnie mogą posiadać równe przymioty, i przymioty takie koniecznie, jakie ona sama najbardziej ceni,—wybiera sobie niejako z grona tych dzieci jedno lub dwoje, które najlepszemi jej się wydają, i dzieci te otacza wyjątkową wyraźnie czułością, okazując innym obowiązkową tylko i, że tak powiemy, *urzędową* pieczołowitość. Takiej to matce właśnie śpieszymy powiedzieć, iż objaw podobny w życiu rodzinnem jest *złem*, którego bardzo się lękać należy, ile że ten, niewinne nosząc pozory, trudniej tem samem daje się podpatrzeć i działania swojego nie wywiera nigdy doraźnie. Ani myślimy, jakiemi skutkami odzywa się on potem w przyszłości naszej! ile niesnasek, niezgód i zawiści wyradza pomiędzy członkami rodzin, a więc i członkami całego społecznego ciała!

Zdarza się jeszcze częściej, iż matka, obdarzając taką wyjątkową miłością i pieszczotami, jedno tylko, któreś ze swoich dzieci,— nie kieruje się nawet, w wyborze tym swoim, względami najpowszechniejszej, niezbędnej dla każdego, a tymbardziej obowiązującej matkę, sprawiedliwości; — że dziecko będące przedmiotem najgoretszego z jej strony ukochania, najmniej właśnie postępowaniem swojem całem i moralną wartością na adoracyą tę jej zasługuje. W takim razie, złe, o którem piszemy, staje się groźniejszem jeszcze, i gorszych skutków w przyszłości obawiać się z niego potrzeba.

Dla wykazania, iż wszystko to jest tak, jak o tem właśnie utrzymujemy—czytelnicy pozwolą, iż zamiast się wdawać w suche i systematyczne detalizowanie, niepasujące nawet do treści podobnego przedmiotu, pójdziemy do żywych i z rzeczywistości wziętych przykładów, które interesując nas bardziej może, może nam i przez to prędszą naukę przyniosą.

—Więc i pożycie siostry twojej z mężem miałoby istotnie nie być tak szczęśliwem i zgodnem, jakby o tem z pozorów wnosić było można?—spytałem w ciągu prowadzonej rozmowy, jednego z dobrych swoich znajomych, z którym byłem na stopie zupełnej otwartości, i z którym właśnie wdałem się raz w sprzeczkę co do rozlicznych potrzeb i warunków, mogących stanowić szczęście rodziny.

—Wcale nie jest takiem przykładnem,—odpowiedział.

Mimo zgodności pod wszystkiemi prawie względami, mimo miłości, jaką do siebie czuli, mimo nawet równości co do majątku (a to też drobnostka, ba i bardzo ważna!)—jest jednakże rzecz jedna, która ciągle różni to anielskie stadło pomiędzy sobą i nie pozwala mu się przytulić do siebie przyzwoicie... tą rzeczą, wiesz co?... oto odmienne wychowanie pana i pani. My, widzisz, mieliśmy matkę, co obok wszystkich przymiotów swoich: cnoty, skromności i poczciwości,— posiadała jeszcze i ten rzadki przymiot rozsądku, że wszystkim dzieciom swoim jednakową okazywała miłość. Wychowywani przez nią jednakowo, przywykliśmy też wszyscy do jednakowego zadawalania się tem, czem darzy Jehowa, bez pretensyi żadnej do wygódek i uciech, któreby większych majątkowych środków, nad te cośmy posiadali, dla zaspokojenia swojego, wymagały. Pan Józef zaś, przeciwnie — posiadał matkę, która go w dzieciństwie, okrutnie ale to okrutnie pieściła. Co gorsza! ta matka, mając troje jeszcze dzieci oprócz niego, okazywała mu tę czułość swoję z wyraźnym dla nich uszczerbkiem. Sam słyszałem,—bo znam go od samego prawie dzieciństwa,—jak owa mama mawiała nieraz: „Józio jest delikatny—Józiowi innej troskliwości potrzeba." „Mój Józio to istne książątko z miny— nie to wcale co wy tam ordynarne chłopcy!" „Maniu wstań już a Józio niech sobie tam jeszcze pośpi." „Jedyną pociechę dał mi Bóg w Józiu!" „Józia nie można obciążać nauką — on zresztą i tak już taki rozumny!" i t. d. i t. d.; takie i tym podobne zdania słyszał wiecznie Józio z ust matki swojej, o sobie.

Cóż dziwnego teraz, że przywykłszy patrzeć się na siebie, jak na jakąś wybraną z pomiędzy ludzi istotę, chce, aby go los też jako wybrańca traktował? Posiadając więc cztery tysiące rubli do roku, przeżywa i wydaje sześć. Stąd długi—stąd nie można ich płacić na termin,—stąd kwas— stąd pretensye do żony, dlaczego nie oszczędza— stąd płacze, lamenty, swary, wymówki, docinki, wydrwinki, dyabelstwa!.... A kochają się, powiadam ci, siarczyście. No, obawiam się, aby z tej miłości nie przyszło jeszcze do rozwodu,—zakończył mój towarzysz, i zakończył już smutnie, bo pomimo swego wesołego dosyć humoru, był to zresztą człowiek bardzo poważny.

— Powiedz pani, co może być powodem separacyi pomiędzy panem a panią X.— zapytałem innym razem pewną damę, która małżeństwo w mowie będące lepiej odemnie znała i liczyła się nawet do szczerych przyjaciół ich domu.

— Rzecz prosta bardzo, — odrzekła dama; pani X. nie kochała nigdy swego męża.

— Więc dlaczegóż wyszła za niego? — spytałem.

— A! dużoby o tem przyszło mówić, — otrzymałem odpowiedź.

— Pani X., widzisz pan, wyszła za mąż, mając lat zaledwie szesnaście, dlatego tylko, aby matce swojej, która podobno jawne pierwszeństwo przed nią okazywała młodszej jej siostrze, *nie zawadzać dłużej*, jak się wyraziła przedemną.

W chwili raz jakiegoś przeciwko niej rozżalenia, — gdy młodziutkiej, niedoświadczonej i niemającej żadnego wyobrażenia o życiu, panience, oświadczył się mąż jej dzisiejszy, prosząc o rękę,— ślub w dziewczyna przyjęła odrazu propozycyą; a że matce partya zdawała się dobrą, bo nie znała także pana X. zapewne bliżej,— ślub w kilka tygodni został zawarty. Łatwo się pan domyślisz, że małżeństwu dla podobnie błahych przyczyn sklejonemu, nie trudno się też było potem rozerwać. Otóż i rzecz cała,— a z niej wniosek.... że matki niezawsze przyczyniają się do szczęścia swych dzieci. (*dok. nast.*)

DZIAŁALNOŚĆ KOBIETY

w kuchni, kółku domowem i salonie.

RADY PRAKTYCZNE

dla młodych żon i panien,

streszczone z dziełka

MARYI CALM.

(Dalszy ciąg)

II. Robótki ręczne.

Und dazu ward ihm der Verstand
Dass er im innern Herzen spüret
Was er erschafft mit seiner Hand.
Schiller.

Teraz przechodzimy do rozbioru drugiego zajęcia kobiety, to jest jej robótek; i dlatego z kuchni i kredensu przenosimy się do salonu lub buduaru.

Kobieta nieumiejąca robót ręcznych jest godną pożałowania; naprzód ma niezliczoną ilość wydatków, których mogłaby uniknąć, naprawiając sama swą bieliznę i ubranie; mało jest u nas kobiet, któreby nie umiały robót ręcznych, lecz największa ich część, zajmuje się robótkami zbytkowemi, a gdy idzie o naprawę lub przerobienie sukni albo bielizny, rady sobie dać nie mogą. Najmuje się wtedy szwaczkę, która w rzeczy samej mało kosztuje, gdyż tylko 2 złp. dziennie i jedzenie. Ale przy końcu roku, zliczcie panie wszystkie te dwuzłotówki, a przekonacie się, że tworzą one okrągłą sumkę. A do tego cóż to za przykrość, ciągle być zależną od rąk cudzych. Jesteście w podróży lub gościnie, toaleta się uszkodziła, a panny służącej nie macie na zawołanie, jeśli same te roboty umiecie, dokonacie prędko i zgrabnie małej poprawki, a jeśli nie, musicie suknię odkładać na bok, czekając na szwaczkę, któraby ją wam znowu do dobrego stanu doprowadziła.

Wogóle, jeżeli kobiety, wszystkie pożyteczne roboty zaniedbują, to pochodzi to tylko z braku chęci, gdyż każda z nich potrafi pracowite robótki, na kanwie, lub szydełkiem, często nawet z uszczerbkiem zdrowia i wzroku wykonywać, ale suknię naprawić, przykroić koszulę, zrobić kapelusz lub czepeczek, tem rzadko która się zajmuje. Te wszystkie zajęcia niegodne rączek wielkiej pani, odsyłają się do szwaczki. Często w rodzinach mających kilka córek, podobne wydatki są większe, niżby wypadało, przy ograniczonych środkach ojca, często nawet są dwa razy większe, od sumy poświęconej na wykształcenie młodszych członków rodziny.

U nas dziewczynki 5-cio lub 6-cio letnie, już się uczą trzymać w ręku kawałek kanwy, i wyszywają na niej pstre poduszeczki dla babuni lub cioci. Ładnie jest kiedy się dziecko wcześnie przyzwyczaja pracą swą sprawiać drugim przyjemność. Przytem jednak nie należy zapominać o praktycznych robótkach, jak szycie, obrębianie lub pończocha.

Przyszłe nasze pokolenia z uśmiechem słuchać będą opowiadania swych babek, o dawno ubiegłych latach młodości, kiedy panienki przychodzące na pensyą, pierwej haftowały nim się nauczyły szyć i cerować.

W zakładach naukowych nietylko u nas ale i zagranicą, w godzinach przeznaczonych na pracę ręczną, każda panienka ma prawo przynieść z sobą jakąkolwiek zaczętą robótkę;—np. jest 30 panien w klasie, i każda z nich ma inną robotę; czyż podobna, ażeby nauczycielka miała w przeciągu jednej godziny dosyć czasu na rozpatrzenie i poprawienie każdej z nich, począwszy od pończochy, aż do trudnej paciorkowej lub atłaskowej roboty?

Winnyśmy wiele staraniom dwóch siostr Schallerfeld, które pierwsze podały nam systematyczny sposób wyuczenia się wszystkich robót w dość krótkim czasie, mało jednak osób wie o nim, a przecież sposób ten jest tak łatwym jak postawienie jaja przez sławnego Kolumba.

Siostry Schallerfeld rozdzieliły wszystkie roboty na klasy; w pierwszej uczą się dziewczynki robić na drutach, w drugiej szyć i naprawiać bieliznę; w trzeciej robią robótki szydełkowe i t. d., aż do krawieczyzny. Wreszcie poco się spieszyć z prędkiem poznaniem wszystkich robót, uczcie się panienki powoli, porządnie, a daleko łatwiej i prędzej dojść możecie do wprawy, aniżeli zaczynając od haftu, a kończąc na obrębianiu i cerowaniu.

Mówiąc o haftach, możemy je uważać za najpożyteczniejszą z tych wszystkich trudnych robótek, nazywanych we Francyi *travaux de luxe*. Ładnie jest jeżeli panienki same potrafią wyszywać kołnierzyki i mankiety, jeszcze chwalebniej, jeżeli swą pracę krewnym i przyjaciółkom poświęcą; ale wieleż to młodych osób wzrok straciło, nad temi atłaskowemi kwiatkami i listkami? panienki niechętnie, zwracają na to uwagę, że wzrok zepsuty lub nadwerężony, rzadko kiedy naprawić się daje, i że nierozwagę kilkominiesięczną, przez długie lata trzeba nieraz odpokutować. Mojem zdaniem, praktyczny to wynalazek tych *points de poste*, i *à la minute*, jeżeli tylko nie są one podobne do kurzych nóżek, gdyż wtedy, po pierwszem praniu robota zupełnie by się zepsuła. Co się tycze robót kanwowych, te niezaprzeczenie są najulubieńszem zajęciem dam cywilizowanego świata, i tak małe dziewczynki jak i najstarsze kobiety, zajmują się niemi, ale jakże często natrafiamy, na coś niegustownego! spójrzyjmy tylko na wystawy sklepowe; cóż tam widzimy? oto zwierzęta z oczyma złożonemi z czterech ściegów, w środku których jedna duża żółta perełka, krajobrazy, drzewa, owoce i kwiaty, niestety wcale do naturalnych niepodobne.

W średnich wiekach żony kasztelanów i rycerzy, sławne czyny swych mężów i ojców, starały się przenosić na kanwę; nad jednym obrazem pracowały po lat kilka i kilkanaście, a nasze panie idąc za postępem czasu, starają się za pomocą „point à la minute" produkować w przeciąg roku więcej robót kanwowych niż ich prababki przez całe swe życie wykonać były w stanie.

Gdybyśmy w robotach kanwowych, nie usiłowały nadaremnie naśladować natury, a trzymały się więcej fantazyi i własnych pomysłów, prędzejbyśmy zdołały wykonać coś prawdziwie artystycznego, na wzór starych deseni perskich, maurytańskich lub indyjskich, tak powszechnie uwielbianych. Hafty są w naszych czasach tak rozpowszechnione, że na wszystkich przedmiotach widzieć je można; nie są od nich wolne cygarnice, futerały do okularów, portmonetki, teki, zębodłubki, nawet chłopcy do ściągania butów.

Mężowie, bracia i wujaszkowie, głośno, przeciwko tym robotom protestują, głos ich wszakże jest prawdziwym głosem wołającego na puszczy. Nadchodzą urodziny lub imieniny którego z członków rodziny, jakże się tu pokazać bez robótki? Z tego powodu wujaszkowie i stare ciotki cieszące się licznym pokrewieństwem, posiadają całe szuflady tych drogocennych pamiątek, z któremi nie wiedzą co począć. Znam pewnego bogatego wujaszka, który o tyle był złośliwym, że w testamencie synowicom swoim, które go zarzucały mnóstwem tego rodzaju niepotrzebnych drobnostek, napowrót ich roboty pozapisywał.

Nie chcemy bynajmniej wypowiadać wojny ładnym i pożytecznym robótkom, jak np. wyszywanym dywanom, poduszkom, etażerkom, lambrekinom i t. d., trzebaby tylko zwracać na to uwagę, ażeby deseń i dobór kolorów, odpowiadały pokryciu mebli, gdyż pstrokacizny należy zawsze unikać.

Rodzice często mają za złe córkom, nadzwyczajną pilność do robót, a mąż prawdopodobnie wolałby korzystać z towarzystwa żony, niż cieszyć się nowym wyszytym dywanem, przy którym pani spędziła tyle godzin, a do którego użyte włóczki i kanwa, z jego kieszeni muszą być zapłacone. Chcecie, szanowne czytelniczki, zrobić prezent mężowi, starajcie się obmyśleć środek zarobienia na niego pieniędzy własną pracą, a nie obarczajcie swych małżonków temi niepotrzebnemi wydatkami, gdyż każda z was przyznać musi, iż niewłaściwem jest, aby otrzymujący prezent, sam musiał płacić za niego.

Anglicy mają słuszność powtarzając często swe przysłowie: *Czas to pieniądz*; jeżeli spojrzymy na wszystkie panie wyższego stanowiska, przepędzające chwile na robotach paciorkowych i haftach, zaiste, przyznać musimy, że czas swój tracą nadaremnie, bez żadnego użytku dla siebie lub bliźnich.

W Niemczech, jest zwyczaj, że gdy mężczyźni, w klubach i restauracyach posilają się piwem i przekąską, rozprawiając szeroko o polityce, damy ze swej strony urządzają *lesekränzchen i kaffeegeselschaften*, gdzie głośno czytują poetyczne i lekkie utwory nowszej literatury i przytem pilnie robią pończochę. Widza przez ciekawość przyglądającego się tym pracowitym córkom Ewy, oczy zaczynają boleć od ciągłego migotania drutów; damy zatopione w tę pracę, przedstawiają widok robotnic, zarabiających w pocie czoła, na swe utrzymanie. I cóż za pożytek z tego wiecznego robienia pończoch? Kiedy już dziś każda rodzina, może za cenę umiarkowaną nabyć maszynę, która w ten niezbędny przedmiot zaopatrzy wszystkich jej członków.

Niemki w ogólności nie zdają sobie sprawy z utraty czasu na robotę na drutach, czasu, który mógłby być pożyteczniej użytym na pracę umysłową, do której teraz przechodzimy.

(*d. c. n.*)

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg).

Jerzy właśnie miał straż na przodzie—i mechanicznie prawie mając oko wlepione w daleki widnokrąg, wciąż jednak zwracał się do owego blasku różowawego, którego sobie w tym szczególnym i nieruchomym kształcie wytłómaczyć nie był w stanie. Wtem kucharz przystąpił do niego i kładąc szeroką rękę swoją na ramieniu młodzieńca, a drugą na ów pas różowy wskazując, rzekł:

— A wiesz ty, co to jest, tam w obłokach— teraz właśnie na północo-wschód od nas, Jerzy?

Jerzy potrząsnął głową przecząco.

— Ciągle się patrzę na to, rzekł, ale nie mogę się zoryentować. Wygląda jak obłoki, ale już przeszło dziesięć minut jest bez zmiany, a kiedy jeszcze słońce było na horyzoncie, barwę miało taką samą, jak teraz.

— To Kordyliery, szepnął stary, a mianowicie Tucunjado ze spadzistym swym wierzchiem.

— Kordyliery? zawołał Jerzy, prędko przybiegając do niego.

— Aha, szepnął znów kucharz, znam je dobrze i często, jako sternik przepływając, w takim samym je widziałem blasku.

— Więc staniemy w Valparaiso? zawołał Jerzy, zaledwie mogąc opanować wzruszenie. Kucharz dał znak zaprzeczenia.

— Nie, w teraźniejszem położeniu gór, Valparaiso daleko jeszcze jest od nas na północ. Kapitan pewnie pozwoli sobie małego wytchnienia.

— Wytchnienia?

— Tak jest—mniej więcej naprzeciwko od nas jest mały port *Talkahuana*, gdzie okręty naszego kalibru chętnie się zatrzymują, a potem składają *rhederom* swoim maleńki rachuneczek na dwa lub trzy tysiące dolarów, które rzeczywiście wydali—choć nie wszystko na belki i pokłady masztowe—jak piszą na papierze. To łotry w tym kącie—widać to prawda, bo już niejeden kupiec nowjorkski porządny grosz tu stracił.

— I tam wylądujemy?

— My — wylądować? Nie, mój chłopcze, zaśmiał się kucharz, nic z tego nie będzie, bo możesz być pewnym, że ciebie stary niezawodnie nie wypuści na ląd. I owszem — w takich razach nadzwyczajna jeszcze straż trzymaną bywa na łodziach, oprócz tego zaś policya tej miejscowości przeklętej czujnem okiem otacza wybrzeże, by nie zniechęcić ku sobie kapitanów. Skoro pochwycą zbiegłego majtka, wydają go niechybnie, albo też, gdyby okręt, do którego należy, już miał odpłynąć, tak długo zbiega trzymają w zamknięciu, aż nie nadarzy się inny jakiś kapitan, któremu oddaniem go mogą łaskę wyświadczyć. Niech ci się odechce ucieczki, bo nic nie zrobisz i na potem zgotowałbyś sobie prawdziwe piekło na pokładzie.

— A kiedyż, sądzicie, ujrzymy ląd?

— W każdym razie jutro skoro świt — widzielibyśmy już teraz, gdyby nie ta mgła ponad wodą. Ale jutro rano z pewnością staniemy u lądu i będziemy musieli skracać żagle całą noc, by przededniem jeszcze nie wylecieć na brzeg.

— A port ten nazywa się *Talkahuana?*

— Jeśli dokądkolwiek stary nasz dąży, to zapewne tam. Wprawdzie niedaleko też jest większe miasto, *Conception*, ale dla statków zajętych połowem wieloryba nie ma tam rzeczy. Dalbym gardło, że w kierunku teraźniejszym płynąc, odwiedzi Talkahuanę i tam może pozbędzie się zyskanego oleju, by w ten sposób mieć okręt wolny i widoki korzystniejszej podróży. Byliśmy dotychczas bardzo szczęśliwi, w skutek czego naturalnie stary pełen jest zaufania w dalsze powodzenie. Zresztą możesz stamtąd na wszelki wypadek wyprawić na ląd list przygotowany, który, jeśli parowcem odejdzie z Valparaiso, a potem do Panamy, za cztery tygodnie będzie w Nowym-Jorku.

— Za cztery tygodnie!

Serce Jerzego biło jakby młotem na myśl, że i on sam w ciągu krótkich owych czterech tygodni mógłby powitać miasto rodzinne i pośpieszyć w objęcia Jenny. Potrzeba mu tylko było odzyskać wolność. A miałożby to być tak bardzo trudnem? Z zawziętością ściskał zęby: trudno, czy nie, jeśli tylko kotwica spocznie w głębinie, postanowił odzyskać swobodę—biada temu, ktoby mu stanął na zawadzie. Ale im mniej teraz mówił o tem, tem lepiej—nawet kucharz mógłby wygadać się po pijanemu więc i on nie powinien był wiedzieć o zamierzonej ucieczce.

VII. Na kotwicy.

Nadszedł następny ranek i pokazało się, że stary kucharz miał racyą. Zwolna przybliżali się do brzegu, którego słabo zarosłe wzgórza wyraźnie już zarysowywały się na horyzoncie. Przybywali coraz bliżej i bliżej. Mogli rozeznać już rzadkie domy na lądzie, okręty, które gęsto zalegały przystań, pojedyncze łódki, które przesuwały się tu i owdzie. Rozległy się wreszcie słowa rozkazu, żeby obić żagle, które rozpuszczone powiewały w powietrzu, młodzież musiała powłazić na maszty, by wypełnić rozkazy. Nagle kotwica runęła w głębinę, a odgłos ten, jakby nożem, przeszył serce Jerzego, gdyż wiedział, że chyba nieżywym dałby się znów wyciągnąć z zatoki.

Z góry jeszcze widział, jak spuszczono łódź pierwszego harpuniera—ale żaden z majtków, tylko cieśla i trzech sterników robiło na niej wiosłami, kapitan sam siedział u steru. I czółno silnie zbudowane prawidłowym biegiem sunąło ku portowemu miastu.

Jerzemu głos zamierał w piersiach, gdy się tak bliskim widział ratunku, a serce mu konwulsyjnie bić zaczęło, gdy pomyślał, że może mu się uda zyskać pozwolenie odszukania na lądzie konsula amerykańskiego. Chciał poprosić o to trzeciego harpuniera, ten bowiem w ostatnich czasach bardzo był grzecznym dla niego i pewnie nie odmówiłby mu swej pomocy. Stał jeszcze niezdecydowany na wzniesieniu strażniczem, gdy zbliżył się do niego kucharz i powiedział zcicha:

— Posłuchaj, mój chłopcze, chcesz właśnie popełnić głupstwo, co?

— Ja? nie, odpowiedział Jerzy zakłopotany. Chciałem się tylko zapytać harpuniera, Mr. Holk, czy....

— Czyby cię nie wypuścił na ląd, co?

— Coś podobnego — żeby tylko konsula amerykańskiego....

— Czyż nie wiedziałem, szepnął kucharz, ale jeżeli ten pierwszy, domyśli się czegoś, każe cię spokojnie zakuć w kajdany na cały czas pobytu tutaj, jakby nigdy nic. Czyż sądzisz, że ci ludzie ufają nam choćby na długość jednej deski? Tobie zaś niedowierzają w szczególności, gdyż wiedzą, żeś go sprowadzono na pokład pomimo twej woli— teraz tylko zapomnieli o tem na chwilę.

Może kucharz znów miał racyą? Długo już dosyć wałęsał się po statkach podobnego rodzżju, by dokładnie poznać ich właściwości, na takie zaś narażać się niebezpieczeństwo—żal było Jerzemu.

Kto wie, kiedy i gdzie znów przybiją do lądu, że zaś wśród spokojnego, otwartego morza nie mógł mieć nadziei spotkania okrętu, na którymby popłynął do kraju rodzinnego—o tem miał sposobność dostatecznie się przekonać. Należało mu więc teraz działać z jak największą ostrożnością, a zwłaszcza czekać sposobnej chwili, zanim się mógł odważyć na krok stanowczy.

— Hallo Boys! zawołał harpunier pierwszy do ludzi stojących na pokładzie—jedno wam tylko chciałem dać ostrzeżenie: żeby mianowicie nikomu się nie zachciało kąpać tu w morzu. Strasznie dużo ludojadów (ryb) w zatoce, a kiedyśmy ostatnim razem zatrzymali się w tem miejscu, bestye porwały nam dwóch majtków. Miejcie się przeto na ostrożności.

To powiedziawszy, odwrócił się i poszedł na wzniesienie, marynarze zaś spoglądali wzajem na siebie i śmieli się, wiedzieli bowiem dobrze, co właściwie miało znaczyć to ostrzeżenie: chciał odstraszyć ludzi okrętowych od usiłowania ucieczki. Pomimo to jednak dopiął zamierzonego celu, gdyż majtek, jakkolwiek odważny nieraz do szaleństwa, ogromnie przecież lęka się ludojadów i formalną ku nim pała nienawiścią.

Tymczasem prace na pokładzie spokojnym szły biegiem. Bednarz zajęty był opatrywaniem beczek ostatnio napełnionych i obsadzaniem na nich obręczy, a reszta załogi obmiatała pokład i starała się okręt wyczyścić jako tako, bo prawdziwie czystym statek podobny nigdy być nie może. Jerzy zauważył przytem, że czwarty harpunier i Bill sternik—nietylko, że podwójnie przymocowali łodzie pozostałe pod windami, ale jeszcze prócz tego wyjęli wiosła i harpuny i przywiązali je mocno do rusztowania znajdującego się nad pokładem.

Nie ulegało wątpliwości, że wszystko to miało na celu zapobiedz, ażeby ktoś z pokładu nie spuścił łódki na wodę i nie popełnił w ten sposób nadużycia; więc jednak obawiano się, ażeby ten lub ów z ludności okrętowej nie próbował ucieczki, zwłaszcza w nocy. Kiedy wreszcie noc nadeszła, a kapitan z łodzią swoją jeszcze nie był powrócił, pierwszy harpunier, który teraz sprawował zwierzchni zarząd na pokładzie, także nie powierzał straży prostym majtkom, ale trzymali takową na przemiany sami harpunierzy, sternicy, retman i bednarz, a to w ten sposób, iż jeden stawał na przodzie, podczas gdy drugi był na wzniesieniu, tak, że każdy z nich i w każdej chwili jednym rzutem oka był w stanie objąć strzeżoną przez siebie część pokładu. Niepodobnaby było niespostrzeżenie wydobyć łódki.

Jerzy pierwszy miał straż na pokładzie, a chociaż Mr. Holk zapewniał go, że list jego został wyprawiony, zajmowała go w tej chwili jedna tylko myśl: ucieczka. Sześć miesięcy z górą upłynęło od czasu, jak go w sposób tak nikczemny uwieziono z kraju rodzinnego—jeśli chwili tej pozwoli przejść bezużytecznie, chwili może ostatniej, w której mógł mieć nadzieję wypłynąć na stały ląd Ameryki—kto wie, czy ratunek jego znów nie zostanie cofnięty o lata całe!

Na lądzie widać było migające się światełka, a przystań była tak blisko, iż wyraźnie dawały się słyszeć tony muzyki rozlegającej się tam w niezliczonych salach do tańca. Ale cóż począć? Jerzy z uwagą śledził łódki krzyżujące się w zatoce ze wszech stron, myślał, że na jednej lub drugiej znajdzie przyjęcie, żadna z nich wszakże nie zbliżała się do okrętu.

Zrozpaczony, martwym wzrokiem spozierał na ląd—tak bliski, a przecież tak niedościgniony. I coraz bardziej pragnął rzucić się w otchłań i w ucieczce szukać ocalenia.

(*d. c. n.*)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pana—h—. Tak jak jest, drukować nie możemy. Forma dałaby się poprawić, ale myśli zużyte, a samo ciepło serdeczne nie wystarcza. Przestań się Pan żalić na ludzi, którzy cię pojąć i zrozumieć nie mogą a wtedy chętnie otworzymy szpalty nasze dla Jego utworów.

Panu Saw.... Mur... w Dubossarach. Numery 1 do 8 wysłaliśmy natychmiast po otrzymaniu listu. Dziś wysyłamy żądaną przez Pana książkę.

Sprostowanie: W numerze 8 na stronicy pierwszej, w wierszu 15-ym łamu drugiego, zamiast: to szafowanie *gorszem*—czytać należy: to szafowanie *groszem*.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**